

Hinduska wyprawa

Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o Indiach, a nie mieliście kogo zapytać opowie Wam Jahangir Mangalia, Hindus z Radżastanu, lekarz z polskim dyplomem i paszportem.

Polakiem zostałem tak: chciałem studiować medycynę za granicą. Zaproponowano mi między innymi Polskę. Co to za kraj? – zastanawiałem się. Popatrzyłem na mapę i zmierzyłem sobie linijką odległość z Warszawy do Berlina, najbliższego miasta na Zachodzie, o którym coś słyszałem. Wyszło niecałe 600 km. Z mojego rodzinnego Bikaneru do Bombaju mam ponad dwa razy tyle, a to wciąż te same Indie. Czyli w Warszawie – pomyślałem – będzie tak samo jak w Berlinie! I już wiedziałem, jak wygląda Polska: autostrady, wieżowce, piękne lotniska i dworce, drogie samochody, ekskluzywne lokale, eleganckie kobiety... Jednym słowem – Zachód. Jadę – zdecydowałem w jednej chwili. I ruszyłem z rodzinnego Radżastanu na ten „Zachód”. Był rok 1991.

Przeciętny Polak ma dziś o Indiach niewiele lepsze wyobrażenie niż ja wtedy o Polsce. Brud, smród, żebrzące dzieci, żyjący i umierający na ulicach, święte krowy, kobry, słonie, małpy, nadzy fakirzy i bajecznie bogaci maharadzowie – czyż nie taki jest pierwszy obraz, który wywołuje w was słowo „Indie”? Oczywiście wiecie, że to wielki kraj, pewnie słyszeliście, że panuje tu demokracja i niedawno odbyły się największe w dziejach świata wybory parlamentarne: samych uprawnionych do głosowania było ponad 700 milionów! I jeszcze ten rozśpiewany i roztańczony Bollywood – same stereotypy!

Pomyślałem więc: skoro Polacy tak wiele zrobili dla mnie, by wybić mi z głowy stereotyp Polski, to może i ja coś dla nich powinienem zrobić... Zdobyty w Polsce dyplom lekarza odłożyłem na razie na półkę i zacząłem organizować wyprawy. Do Radżastanu, Nepalu, na Goa, Sri Lankę. Pokazałem moje Indie już kilku tysiącom Polaków. I chyba robię to nieźle, bo wielu moich gości po pierwszym razie nie chce się już od Indii uwolnić. Wracają.

Co ich tak przyciąga? Jakie te Indie właściwie są? Jakie są te MOJE Indie?

Indie są bogate

Bogate. Aż gęste od zapachów jest tu powietrze. Już po wyjściu z samolotu uderza fala gorąca, a zaraz potem atakuje egzotyczna woń przypraw i korzeni, kurzu, rozgrzanego oleju z wszechobecnych straganów, masali, krowiego łajna... Niepowtarzalna, niepodrabialna, kusząca, przemawiająca wprost do zmysłów: jesteś w Indiach.

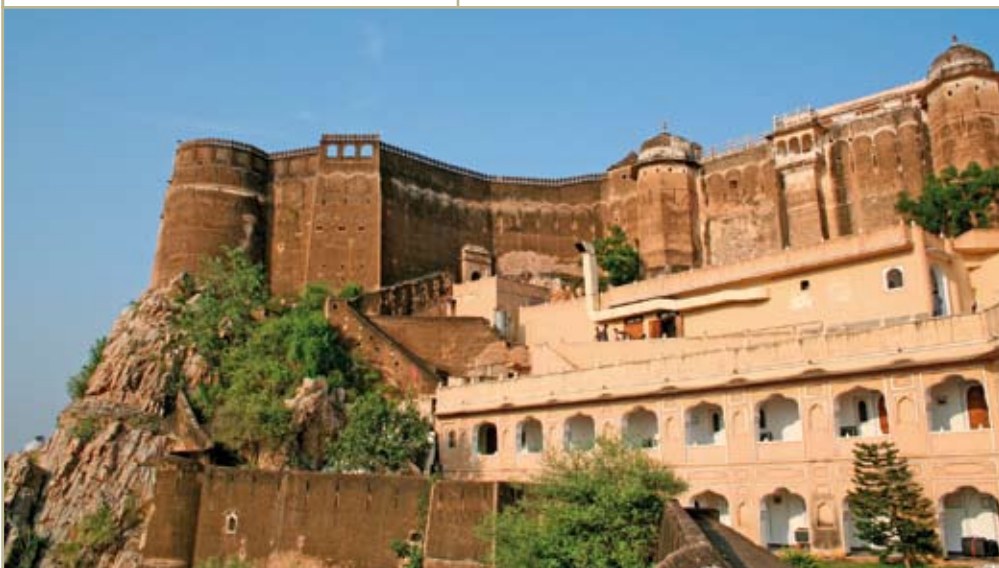
Bogato tu od dźwięków: przyjaźnie podekscytowani handlarze przekrzykują się z naganiancami do hoteli, riksarzami, na to nakłada się warkot, skrzypienie, klekot wszelkiego rodzaju pojazdów. Sześciuosobowe tuk-tuki wożą całe rodziny razem z sąsiadami (widuje się i po 17 osób w jednym pojeździe), ciężarówki oblepione są tłumem, podobnie jak pociągi. Zwyczajnym widokiem są motocykle w konfiguracji takiej: za kierownicą ojciec, na kierownicy najmłodszy syn, za ojcem starszy syn lub córka, a jeszcze i żona, prawie na błotniku, ale dumnie zamyka całość, a wiatr rozwiewa jej kolorową chustę.

Bogato tu od kolorów: na motorach i skuterkach mkną między ciężarówkami i autobusami, strzelając oczami do turystów, po dwie dziewczyny w kolorowych indyjskich strojach. Chodnikami maszerują kobiety w niezwykle barwnych sari, pustynnych zawojach, pendżabskich tunikach – tak jest i na głównych szlakach Złotego Trójkąta Delhi-Agra-Dżajpur, i w małych mia-



Takimi widokami i kolorami mieni się ulica w Indiach.





Zamek w Kuchaman.

steckach, i w wioskach omijanych przez turystów. Bo te stroje to bollywoodzka cepelia dla turystów. Tak nosi się tu ulica. Indie mają swój dress cod, z którego są dumne, ale przecież nie są odcięte od świata. Na tradycję nakłada się tu więc szyk zachodni: można spotkać dziewczyny w jeansach oraz obcisłych bluzkach i nikogo nie gorszy taka mieszanina.

Indie są powściągliwe

Tylko ten indyjski tłum jakby inaczej się organizuje... Dziewczeta swobodne i roześmiane, ale zawsze w grupie, chłopcy pojedynczo albo po kilku, nierzadko parami, trzymając się za ręce – nie, nie dlatego, że są innej orientacji. Chłopakowi z kolegą za rękę – wypada. Chłopakowi z dziewczyną – nie, zgorszenie. Kobiety miejscowej z odkrytymi nogami nie uświadczysz. Turystki, proszę bardzo, ale trzeba się nastawić na taksujące spojrzenia, choć natarczywości i naga-bywania nie będzie.

Ci, którzy oczekują kamasutry na żywo, wybrali nie ten rejon świata. Owszem, tu się znajduje Kadzuraho – świątynia z wrytym w skale miłym instruktarzem – mam ją w programie wycieczek do Nepalu. Handlarze w niemal każdym sklepiku będą polecać przeróżne wersje Kamasutry

– w formie książki, samych obrazków, kursu gotowania itp. I niejeden maharadża w niejednym swoim zamku czy pałacu miał tajny kącik – a to przy basenie, a to przy sypialni, ot tak, dla rozrywki, jak to arystokrata. Relaksował się tam wśród malunków jeszcze bardziej wymyślnych niż Kadzuraho. Teraz te pałace stoją otworem i dla nas. Ale to margines. Indie są w „tych sprawach” powściągliwe.

Choć powściągliwe inaczej. Niedaleko Bikaneru, w mieście Kuchaman (trudno je znaleźć na mapie, bo na indyjskie warunki małeńkie, raptem jakieś 50 tys. mieszkańców) – zdarzyła mi się kiedyś taka sytuacja: wysiedliśmy z autokaru, by przesiąść się do jeepów. Te miały nas zawieźć na nocleg w XIV-wiecznym zamczysku na górze tak stromej, że autokarem nie da rady. Grupę natychmiast otoczył tłumek Hindusów chcących popatrzeć z bliska na białych ludzi, zamienić słowo, może jakiś długopis dostać. Wszyscy się pchają wokół nas, europejskiego dziwowiska, a tymczasem obok sunie dziwny korowód: całkowicie nagi mężczyzna z miotłką w dłoni w otoczeniu kilku osób. I nikt na niego nie zwraca uwagi. Bo to nie golas jest dziwowiskiem na hinduskiej ulicy. Dziwowiskiem są ludzie wyglądający jak my.

Indie są wrażliwe

Spieszę od razu donieść, że nadzy mężczyźni to nie jest widok częsty. Ten był przedstawicielem starej religii łagodnych ludzi o nazwie dżinizm. Wyznawcy, szanujący każdą żywą istotę, dzielą się na dwie szkoły: śwetambarów i digambarów, czyli odzianych na białą i odzianych w powietrze. Czyli – według naszego rozumienia – nieodzianych. Golas z Kuchaman był digambarą. Chce być jak najbliżej natury, tak jak przyszedł na świat. A miotłka nie służy do osłaniania czegośkolwiek. Nią omiata się drogę, by nie skrzywdzić żadnej żywej istoty.

W moim rodzinnym Bikanerze jest przepiękna świątynia dżinistów. Jej ściany pokryte są wymalowanymi scenami przedstawiającymi grzechy, jakie może popełnić dżinista i straszliwe kary, jakie mogą go za nie spotkać. I jest w tej świątyni niestary kapłan, który wita turystów,



Goly mężczyzna to w Indiach widok tak zwyczajny, że nie wywołuje żadnego poruszenia.

maluje im żółte kropki na czole, objaśnia symbolikę. Funkcja, którą sprawuje, przechodzi z ojca na syna. On jest opiekunem świątyni już w 32. pokoleniu! Policzcie choćby z grubsza, ile to lat. Tam zdarzyła nam się sytuacja, która najlepiej pokazuje mentalność dżinistów: gdy schodziliśmy po marmurowych schodach, drogę przeciął nam pochód mrówek. Ktoś już miał postawić na nim stopę, bo nie zobaczył mrówek, ale dżinista zobaczył. Ten łagodny człowiek wrzasnął tak przeraźliwie, że stopa zastygła w powietrzu, mrówka zdążyła umknąć i jeszcze jedno istnienie zostało ocalone. Nie będziesz krzywdził bliźniego swego!

„Bliźnim” jest tu bowiem każde stworzenie, nawet niedostrzegalne żyjątko mieszkające na korzonkach. Dlatego dżiniści nie jedzą podziemnych części roślin, tylko naziemne, filtrują wodę przed wypiciem, zakładają maski z gazy, by z oddechem nie wchłonąć nic żywego.

Hindusi innych wyznań nie są aż tak restrykcyjni, ale w kwestii spożywania bliźniego swego są zdecydowanie bardziej wstrzeźliwi niż ludzie Zachodu – większość z tej ponadmiliardowej populacji to wegetarianie, z mięs, jeśli już coś trzeba, jedzą kurczaka.

Indie są ostre

Oczywiście, dla turystów – wszystko. W dużych miastach – nawet McDonald, tylko kto, mając do wyboru kuchnię z tysiąca i jednej nocy, będzie szedł na kotleta w bułce i shake'a? W hotelach karmią po angielsku: omlet, fasolka w sosie pomidorowym, owsianka, pieczywo (miejscowe), soki owocowe, soczewica, kurczaki w sosach i przyprawach itp. Wszystko przyprawione tą niepowtarzalną nutą orientu... Na ulicy jeść trochę strach, wodę także – choćby butelkowaną – lepiej kupować z pewnych źródeł. Ale jeśli chcecie spróbować prawdziwej indyjskiej kuchni, to trzeba pójść na targ. Najpierw zakręci wam się w głowie od nadmiaru woni korzennych, a jak już przestaniecie kichać i łzawić, rozejrzyście się za budką, w której podają: masala tika, piczka, puri, sabzi, samosa. Prawda, że brzmi nieźle? I przygotujcie duży zapas płynu na gaszenie pożaru, bo będzie ostro.

Z płynów poza wodą pożar dobrze gasi znane także w Polsce (swego czasu w Piotrze i Pawle) piwo z kolibrem – Kingfisher, jasne, coś jak nasz Lech.

Klątwa maharadży (jedno-, dwudniowe kłopoty żołądkowe) raczej nie omija nikogo. Lepiej nie męczyć organizmu swoimi lekami – miejscowe, których zapasik zawsze mam ze sobą, są skuteczniejsze. A że najważniejsza jest profilaktyka, to można się rozejrzeć za sklepami z szyldem Wine shop. Hindusi raczej nie piją, ale kto nie Hinduś, ten do wyboru ze smaków miejscowych ma: rum (z trzciny, a jakże, słodki); whisky (jeśli z colą, to nienajgorsza); gin (ujdzie) i właściwie to tyle. Uwaga koneserzy: lepsze restauracje i hotele mają w kartach wina, nawet szampany, echo czasów kolonialnych, które choć drogie (1000 rupii za butelkę), są całkiem przyzwoite i warte skosztowania.

Indie są święte

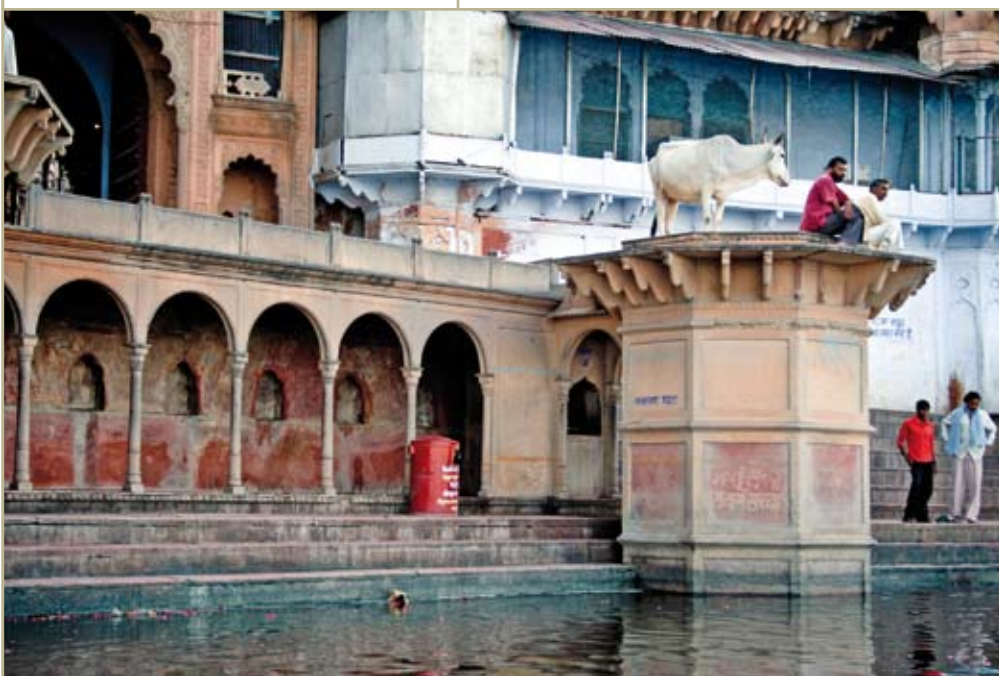
Szacunek dla wszystkiego, co żyje, jest tu wszechogarniający. A już szacunek dla czegoś, co daje życie, jest samą kwintesencją Indii. Dlatego święta jest woda – bo bez niej nie ma życia. Najświętsza jest woda w rzekach Ganges i Jamuna, a każdy Hinduś musi się w ich wodach obmywać. I trafi w ich fale po śmierci, gdy rodzina w pełnej czci i symbolicznych zachowań oraz gestów uro-



Ludzi starych traktuje się w Indiach z wielkim szacunkiem.

Kto był w Indiach ten wie, że trzeba się tam targować. Cenę można zbić nawet o połowę, a przy okazji wprawić i siebie i sprzedawcę w dobry humor.





Woda w Indiach jest święta, bo daje życie. Święte są też krowy i dzięki temu mogą wchodzić tam, gdzie chcą.

czystości spali jego ciało i rozsypie w wodzie prochy. Święte jest drzewo, bo daje cień, schronienie ptakom, owoce. Pod drzewem, trzymając się jego gałęzi, rodziła matka Bodhisattwy Buddy. Święta jest krowa, bo daje mleko – podstawę żywienia całej rodziny (choć i świętej krowie, jeśli trzeba, przyłoży się kijem, by nie tarasowała całej drogi, jeden pas jej wystarczy). Święta jest rodzina. Mąż-ojciec najświętszy, choć wtajemniczeni wiedzą, że tak naprawdę rządzą u nas kobiety. I święci są bogowie. Mamy nawet świętą trójcę, po hindusku trimurti: Brahma, Wisznu i Sziwa, czyli najwięksi bogowie hinduizmu. Wielce w Europie popularny bóg Kriszna u nas jest też lubiany, ale wszyscy pamiętają, że jest on awatarą („zstąpieniem”) wielkiego Wisznu.

Na trasie, po której prowadzam Polaków, jest miejsce niemal zupełnie nieznanne, rzadko odwiedzane przez turystów, a dla wyznawców Kriszny właśnie – najświętsze. To Mathura. Tutaj, nad brzegiem świętej rzeki Jamuny, jest jego sanktuarium. Po przejściu restrykcyjnej kontroli (uprzejme, ale stanowcze: panie na lewo, panowie na prawo, strażnicy sprawdzą każdego, czy nie wnosi nic niebezpiecznego), bo o to święte miejsce wiodą od setek lat spór – niestety chwilami krwawy – krisznaici i muzułmanie, można zobaczyć celę, gdzie 3,5 tys. lat temu urodził się Kriszna.

I tutaj, w Mathurze, zawsze pada pytanie, na które żaden Polak nie zna odpowiedzi, choć jest oczywista. Pytanie brzmi: dlaczego Kriszna na wymalowanych na suficie obrazach ma niebieską twarz? Odpowiadam: nie tylko Kriszna i nie tylko na obrazach w Mathurze. Niebieskie twarze mają na wszystkich hinduskich obrazach wszyscy hinduscy bogowie. A jaką mają mieć? Są z nieba, to mają niebieską, jak niebo. To wszystko. Dzięki temu boga można rozpoznać od razu. Jest jeden wyjątek, ale o tym za chwilę.

Boskich znaków rozpoznawczych jest więcej. Kriszna, który lubił zabawę i taniec, a zwłaszcza figlowanie z pasterkami, trzyma w ręku flet. Sziwa tańczy i dzierży trójząb (tak jak wasz Neptun). Bogini bogactwa Lakshmi, patronka biznesmenów, siedzi na kwiecie lotosu. Wisznu trzyma muszlę, Ganesza – wesoły bóg – ma głowę słonia. Hanuman to wojownik – małpa (jest bardzo popularny, bo pokonał demona, który uwięził Sitę, żonę boga Ramy, co zostało opisane w najdłuższym na świecie eposie „Ramajana”). A wyjątkiem jest bogini Kali. Na szyi nosi naszyjnik z trupich czaszek, w ręku dzierży miecz, a twarz ma czarną i wywalony czerwony język. Jest straszna. Musi być straszna, by być postrachem nawet dla demonów – sił zła, z którymi toczy nieustanną walkę.

Indie są ruchliwe

Dużo podróżuję po Indiach. Trasa wycieczkowa przez Radżastan to ponad 2 tys. kilometrów w 12 dni. Z klimatyzowanego autobusu z kilkuosobową obsługą może nie widać wszystkiego, ale i tak naoglądałem się różnych sytuacji drogowych. Ruch jest tu bowiem zorganizowany osoblownie.

Jeździ się wszystkim i na wszystkim, a więc: samochody osobowe i ciężarowe, autobusy, tuk-tuki, motory, wielbłądy, słonie, rowery, riksze. Ruch niby jest lewostronny, ale jak prawy pas autostrady zatkań, to przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie patrzył na pusty lewy pas. Jedzie się pod prąd. Jak na rondzie nie da się jechać w lewo, to skręca się w prawo. W Agrze, miejscu słynnym z Tadž Mahal – monumentalnego grobowca z marmuru uznanego za ósmy

